Świat powieściowy.

Nr. 113 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Tajemnice wielkiego świata.

WOLNY PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XV.

Teraz opuśćmy Paryż i przenieśmy się do Burgundji, za panem de Maugeville i panią de Planche-Mibray.

Dwie drogi prowadzą z Auxerre do Coulanges nad l'Yonną. Jedna z przedmieścia du Temple, na północ Auxerre, przecina lasy de Courson i prowadzi prosto do Coulanges. Druga idzie z brzegiem rzeki l'Yonny. Wychodzi z dolnego miasta i ciągnie się wzdłuż wzgórz d'Irancy.

Zamek de Planche-Mibray, jakeśmy już mówili, zbudowany był na wzgórzu, koło lasu, otoczony naokoło winnicami, pół mili od Coulanges, a z okien zamku widać było z daleka rozciągające się równiny Nivernais.

Druga droga, o której mówiliśmy, była bardziej malowniczą, ale mniej uczęszczaną, bo przedłużała drogę o jakie trzy mile.

Zresztą od Zamku Mailly aż do lasu du Frettoye droga jest nader dzika. Nie widać tam nigdzie żadnego dworku ani domku.

Na lewo wznoszą się wysokie skały zwapniałe, na których rosną karłowate krzaczki róż polnych. Na prawo widać gęsty las.

W pośrodku tych skał rozrzuconych w nieładzie jak gdyby wybuchem wulkanicznym, widać zwaliska jakichś dawnych murów.

Były to ruiny domu. Dom ten był oberżą, którą obalił piorun.

Jak to się stało, nikt nie wiedział dokładnie. Pewnego dnia furmani z brykami, wracając z Coulanges, widzieli dom w płomieniach.

Szalona burza była tej nocy, a na skałach sąsiednich widać było ślady piorunu. Mieszkańcy oberży gdzieś znikli.

Czy uciekli, czy też pomarli? Nikt nie wiedział; było to tajemnicą!

Ale w czasie, o którym mowa, istniała jeszcze oberża pod Sową, i doprawdy stosownie była nazwana.

Sowa żyje zwykle samotnie w wielkich lasach, wylatuje tylko w nocy i jest ptakiem złej wróżby.

Utrzymują nawet, że zawsze przynosi nieszczęście i że podróżny, który słyszy w nocy jej krzyk ponury, powinien być ostrożnym, powrócić do domu, lub przynajmniej czekać dnia do dalszej podróży.

Jednakże familja Balthazar nie bała się wziąć sobie za godło sowę, i jedna przybita wisiała na drzwiach wchodowych z skrzydłami rozpostartemi, a druga żywa przechadzała się po domostwie, siadała po stołach, przed ogniem, a nawet na poręczy krzesła, jeżeli się tam zjawił jaki naiwny podróżny.

Familja Balthazar składała się z czterech osób: matki i trzech synów.

Napróżno na dwie mile naokoło szukał by kto miasteczka, wioski, dworku, lub zwykłej chaty wieśniaka.

Furman jadący nocą koło oberży pod Sową, trzaskał z bicza i śpiewał na głos dla dodania sobie odwagi.

Jeżeli kto szedł pieszo, zawsze zbaczał i obchodził oberżę.

Nigdy nikt z wieśniaków nie zatrzymał się nawet we dnie, przed tym domem tak okropnej reputacji.

Czy była ona uzasadnioną lub nie? Nikt nie mógł powiedzieć, ale straszne legendy opowiadano o oberży pod Sową.

Jakiś podróżny, wyszedłszy wieczór o zmroku z Auxerre, widziany był jeszcze w przyległem miasteczku, a ktoś go nawet spotkał nie daleko przed oberżą, nie przybył jednak nigdy do Coulanges.

Drugi, który się tam zatrzymał w skwarny dzień letni, aby sobie odpocząć, nigdy już z tamtąd nie wyszedł.

Żandarmerja kilkakrotnie wkraczała do oberży pod Sową, prowadziła ścisłe śledztwo, ale wszystko nadaremnie.

Nikt nie wiedział zkąd pochodziła rodzina Balthazar. Byli to przybysze, a zkąd przybyli było tajemnicą.

Przed dwudziestu laty, pewnego wieczora, kobieta jeszcze młoda, odziana w brudne łachmany, przybyła do miasteczka Mailly. Maleńkie dziecię miała przy piersi, drugie na plecach, a trzecie prowadziła za rękę.

Kobieta ta, mająca najwięcej lat trzydzieści, mimo swojej nędznej powierzchowności, nosiła ślady dzikiej piękności.

Chodziła żebrząc od domu do domu.

Każdy obdarzył ją jakąś jałmużną, lecz nikt nie chciał przenocować.

Wieśniacy są zwykle nieufni z natury, a kobieta ta wzbudzała więcej jakiś przestrach tajemny niżeli litość.

Nie mogąc znaleźć miejsca na nocleg, zapytała swego syna, który szedł obok niej:

— Czyś bardzo zmęczony robaku?

— Nie matko — odpowiedział głosem ponurym.

— A więc chodźmy dalej — odrzekła. — Noce nie są zimne, a zresztą będziemy wkrótce u celu podróży. Przenocujemy w lesie.

Miasteczko Mailly zbudowane jest trochę dziwnie.

Około starego zamku, który już teraz jest tylko ruiną, grupuje się z jakie sto domów.

Wszystko to zbudowane na skale, w której wykute wschody i droga prowadzą nad brzeg rzeki.

Żebraczka, której nikt nie znał i nikt nigdy nie widział, a która jednak zdawała się dobrze obeznaną z miejscowością, albo przynajmniej otrzymała dokładne wskazówki topograficzne, zeszła śmiało po wschodach na dół ku rzece.

Tu już nie żebrała. Torbę miała dobrze naładowaną.

Poszła dalej ku dzikiej dolinie, którąś my opisali, i tam przy zmierzchu dnia zdybał ją syn mera z Mailly, który wracał z polowania. Siedziała pod drzewem i jadła dzieląc się z dziećmi,

Odtąd już jej nigdy nikt nie widział, aż w dniu śmierci ojca Fanfare.

Ojciec Fanfare był to stary leśniczy pana M......, który wybudował sobie domek między temi skałami i zamieszkał w nich na starość.

Byłto dziwak i odludek, który żył samotnie w tym domku przez lat dziesięć, nie widując nikogo, nawet swoich siostrzeńców.

Pewnego dnia umarł nagle, i dopiero wieśniacy przechodzący tamtędy, widząc drzwi zamknięte, donieśli merowi o jego śmierci.

Siostrzeńcy wystawili dom na licytację za sześćset franków.

I właśnie ta żebraczka z trojgiem dzieci zgłosiła się chcąc nabyć ten dom.

Podziwienie było ogólne zkąd wzięła pieniądze, tem bardziej że wypłaciła złotem.

Było to tak podejrzane, że żandarmerja zażądała od niej papierów.

Miała jednak paszport legalny, wystawiony na imię Klary Balthazar... Mówiła że zebrała te pieniądze żebrząc.

Wkrótce dom ten zamieniła na oberżę i dała Sowę za godło.

Po kilku latach oberża pod Sową nabrała tej strasznej reputacji.

Jak mówiliśmy nikt nie wiedział kto była żebraczka i zkąd przyszła.

Jednakże stary gajowy z la Roche umierając, zrobił szczególne zeznanie.

Utrzymywał on, że na miesiąc przed tem nim Klara Balthazar kupiła dom ojca Fanfare, widział ją w lesie kopiącą coś pod drzewem, i że pewnie wykopała skarb jakiś ukryty.

Ale ponieważ stary umierając był w gorączce, nie zwracano uwagi na to co mówił, i nie dano znać żandarmerji, która by była nowe wytoczyła śledztwo.

Lata upłynęły. Żebraczka się postarzała i włosy jej pobielały.

Starszy jej syn miał już lat trzydzieści, drugi dwadzieścia pięć, trzeci dwadzieścia jeden, oberża zaś pod Sową była u szczytu najgorszej reputacji.

XVI.

Było to przy końcu miesiąca marca. Dzień był ponury, wiatr dął mroźny jak gdyby w zimie.

Człowiek jakiś zboczywszy z drogi głównej, szedł tą doliną dziką, gdzie milę naokoło nie widać było innego mieszkania prócz tej oberży strasznej.

Podróżny ten zdawał się być starcem, sądząc po jego brodzie siwej i włosach białych. Był on wzrostu słusznego, dobrze zbudowany, szedł raźno i mimo wieku nie zdawał się zmęczony.

Ubrany był w bluzę niebieską, poszarpaną, na nogach miał trzewiki drewniane, a przed sobą popychał taczki, w których była torba napchana kawałkami chleba, łopata i rydel robotników kopiących groble.

Gdy nikogo nie było na drodze, człowiek ten brał taczki na plecy i szedł szybko.

Ale jeżeli spostrzegł kogo idącego lub jadącego, prędko spuszczał znowu z ramion taczki, zwalniał kroki, i przybierał minę poczciwego robotnika, wracającego z pola po skończonej robocie.

Jednakże oko badawcze dostrzedz mogło, że wracał z dalekiej podróży. Widać to było po taczkach i trzewikach okrytych rozmaitem błotem. Szedł widać przez wielkie piaski, a potem przez ziemię gliniastą.

Gdy stanął na środku tej doliny dzikiej, zatrzymał się chwilę, widocznie aby się zorjentować, bo szepnął do siebie:

— Już tak dawno tu nie byłem, że nie poznaję miejscowości. Jednakże zdaje mi się, że to tędy i z pewnością jestem na drodze do Coulanges. Oto las na prawo. Dalej w drogę!

I chciał znowu zarzucić taczki na plecy, gdy człowiek jakiś wyszedł z lasu.

Starzec lekko drgnął, potoczył taczki i szedł zwolna dalej.

Człowiek, który wyszedł z lasu, skierował prosto na drogę. Mógł on mieć lat około trzydzieści, a długa broda czarna zakrywała prawie twarz całą.

Torbę myśliwską przewieszoną miał przez plecy i ubrany był w długie kamasze, ale chociaż pies szedł za nim zdaleka i można go było wziąć za strzelca, nie widać było strzelby.

Jednakże przypatrzywszy mu się z bliska, widać

było zająca w torbie, a pod bluzą niósł coś zawiniętego w starą płachtę.

Była to zawinięta zwykła strzelba złodziei lasowych, rozbierająca się na trzy części.

Starzec popatrzył ukradkiem, badawczo, na tego człowieka.

Tenże spojrzał także z pod oka na starca i odezwał się:

— Dobry wieczór stary.

— Dobry wieczór mój chłopcze — odpowiedział starzec.

Kłusownik patrzył na starca wzrokiem podejrzliwym.

— A zkąd to tak powracacie ojcze? — ozwał się znowu.

— Pracuję w Mailly.

— A tak! i dokąd dążycie?

— Do Coulanges.

— Ładny macie kawał drogi — odrzekł kłusownik.

Starzec już nie odpowiedział, ale zwolnił jeszcze bardziej kroku, w nadziei, że w ten sposób pozbędzie się towarzysza, którego mu zsyłał przypadek.

Ale kłusownik szedł ciągle koło niego.

— A u kogo to robicie w Mailly? — zapytał znowu.

— U mera — odpowiedział starzec, aby coś odpowiedzieć.

— Jesteście mularzem?

— Nie, sypię groble.

— Ej kłamco! — rzekł kłusownik, a uderzywszy starca po ramieniu, zawołał z miną wesołą: — W takim razie nie u mera pracowalibyście ojcze!

Starzec drgnął, przymrużył oczy i odpowiedział:

— Czy ja ciebie się pytam chłopcze, gdzie zabiłeś tego zająca?

— O! — odrzekł kłusownik — ja zwykle jestem mało mówiący z natury.

— Dobry to przymiot mój chłopcze.

— I słowo Balthazara...

Usłyszawszy to imię starzec zatrzymał się nagle i zapytał:

— Jak powiedziałeś?

— No powiedziałem, słowo Balthazara. To moje nazwisko. Nazywam się Szymon Balthazar.

Starzec zaczął się przypatrywać kłusownikowi z jakąś niespokojnością.

— A więc ty jesteś synem najstarszym Klary?

— No, no, proszę, wy znacie moją matkę?

— Nie znam jej, ale wiele mi o niej mówiono.

— Któż taki?

Stary patrzył ciągle z nieufnością na kłusownika.

— Słuchaj stary — rzekł tenże — bądź otwarty z przyjaciołmi.

— He!

— Ja ci powiem kto ci mówił o mojej matce. To pewno mój ojciec.

Starzec drgnął tak mocno, że aż taczki z rąk wypuścił.

— A widzisz — mówił dalej Szymon Balthazar — jak cię tylko zobaczyłem, poznałem zkąd wracasz. Włóczysz za ładnie nogą prawą na mularza lub innego robotnika.

— Ale bo jestem trochę zmęczony.

— Bo wracasz z tamtąd — i kłusownik przymróżył znacząco oczy.

Przestrach odbił się na twarzy starca.

— Powiedz mi, czy ty skłamałeś, czy jesteś naprawdę Szymonem Balthazar?

— Ależ do djabła!

— A twoja matka trzyma oberżę pod Sową?

— Tak.

I Szymon wskazując ręką dodał:

— Patrz tam na lewo, widzisz dym z komina? Gotują wieczerzę. A ponieważ wracacie z tamtąd i znacie ojca... posilicie się z nami.

— No, pewnie że znam twego ojca — odrzekł starzec. — Byliśmy razem lat dziesięć.

— Cóż tam porabia starowina?

— Już nie jest tam.

— Uciekł?

— Nie, to ja uciekłem, a on...

— No cóż?

— Wysłano go do Cayenne z ostatnim transportem.

— Gdy się dowie matka, zapłacze... — rzekł Szymon brwi zmarszczywszy. — Codziennie od lat dwudziestu powtarza zawsze to samo, że on musi wrócić i wróci do nas z pewnością. Ale z Cayenne nie można powrócić, chyba przepłynąwszy morze.

— To prawda — odrzekł starzec — zdaje się, że go już więcej nie zobaczymy.

— Przyznajcie się no mój ojcze — mówił Szymon Balthazar. — Wy tak wracacie z Toulonu popychając ciągle taczki przed sobą?

— Tak, prawda — odrzekł galernik.

— Ale przecie będziecie musieli gdzieś się zatrzymać.

— Zatrzymam się już wkrótce — i oczy starca zabłysły ponuro.

— Dziś wieczór — mówił dalej Szymon — będziecie wieczerzać z nami, przenocujecie i przyjmą was dobrze pod Sową. A jeżeli potrzebujecie pieniędzy, matka pożyczy wam z jakie sto sous. Ale nie mówcie jej o niczem.

— O czem?

— Że ojciec mój przeniesiony do Cayenne.

— To będzie trudno mój chłopcze.

— Dlaczego?

— Ponieważ ojciec twój dał mi polecenie dla was.

— Bylibyście więc przyszli do nas, choćbym was był nie spotkał?

— Myślałem u was dziś nocować, nawet zabawić dni kilka.

— Czybyście mieli jaki interes do załatwienia, w tych stronach?

Stary uśmiechnął się melancholijnie.

*

— Nie — odrzekł — mam tylko krewnych odwidzieć.

— Gdzie?

— W okolicach Coulanges. Spodziewam się, że nie zapomnieli o mnie.

Starzec nie obawiając się już Szymona, wziął taczki na plecy, i obaj poszli krokiem szybszym.

— Dziś rano — ciągnął dalej galernik — wychodząc z Auxerre, zatrzymałem się w jednej karczmie, gdzie właśnie marynarze mówili o was.

— O mnie?

— O tobie, o twej matce, o braciach i waszej oberży, która nie cieszy się wcale dobrą opinją.

Mówiąc to stary uśmiechał się.

— O! — odrzekł Balthazar — więcej mówią jak jest w istocie!

— To zawsze tak mój chłopcze!

— Ale nigdy nic nie znaleźli, ani dowiedli.

— Ojciec twój — mówił dalej starzec — skarżył się na was w ostatnich czasach.

— Dlaczego? — zapytał Szymon.

— Zdaje się, żeście mu już nic nie posyłali.

— Czasy teraz ciężkie.

— Tak, ale...

Mówiąc to starzec uśmiechnął się dziwnie, a Szymon znowu drgnął.

— Kochany mój chłopcze — odezwał się znowu galernik — jak ci powiedziałem, siedziałem z twoim ojcem przez lat dziesięć. Z początku nie lubiliśmy się. Ja nie byłem złodziejem, zabiłem tylko przez zemstę, ale gdy się jest przykutym do tego samego łańcucha przez lat tyle, człowiek się przyzwyczaja i nareszcie poprzyjaźniłem się z twoim ojcem. Nie miał on tajemnic przedemną.

- Więc... wiecie...

— Wiem wszystko, i wiem więcej nawet od was.

Szymon Balthazar spojrzał na galernika niespokojnie.

— Słuchaj chłopcze — ciągnął tenże dalej — jestem ubogi i nie mam nic w torbie oprócz tych kawałków chleba, lecz gdybym chciał, jutro miałbym złoto, i gdybym nie był uczciwym, zabrałbym je wam z przed nosa, twej matce, braciom i tobie.

— Co to ma znaczyć, co przez to rozumiecie ojcze? — i Szymon wpatrzył się w starca.

— Gdy ojca twego mieli wysłać do Cayenne, zrozumiał, że z tamtąd nie wróci nigdy. Rzekł więc do mnie: Staraj się uciec, znajdziesz moją żonę i dzieci, powiesz im gdzie jest skarb i podzielicie się.

— Ojcze — odrzekł Szymon z westchnieniem zawiedzionego — zegarek twój spóźnia się o lat dwadzieścia...

— Sądzisz?

— Chcesz mówić o pieniądzach rzeźnika, którego mój ojciec zabił, wracając z jarmarku z Nevers?

— Tak, właśnie.

— Pieniądze te zakopał pod drzewem w lesie Frettoye?

— Tak jest.

— Lecz gdy został skazanym, i nim odjechał, wyprosił sobie pozwolenie widzenia się z moją matką, i powiedział jej gdzie zakopał pieniądze. Dawno już myśmy je znaleźli. Miałem dopiero wtedy lat dziesięć i z tych pieniędzy właśnie kupiliśmy dom ojca Fanfare.

Starzec znowu się uśmiechnął.

— Ileż tam było? — zapytał.

— Około dwa tysiące franków.

— Więc zostało jeszcze cztery tysiące.

— Gdzie? — zawołał Szymon prędko.

— W miejscu, w którem wskazał mi twój ojciec. Zachował sobie tę resztę, w razie, gdyby udało mu się umknąć z galer. I dopiero gdy stracił wszelką nadzieję...

— I darował wam pewnie połowę?

— Tak, ale ja nie chcę tych pieniędzy.

Teraz znowu Szymon Balthazar zatrzymał się zdziwiony i zapytał:

— A dlaczegoż to niechcecie?

— Ponieważ pieniądze te są kradzione. A ja jestem zabójcą, a nie złodziejem — odrzekł szczerze starzec.

Stanęli wreszcie przed oberżą pod Sową. Noc już zapadła. Słychać było zdaleka głos chrypliwy Klary Balthazar, która kłóciła się z dziećmi.

— Gdzie was skazano? — zapytał jeszcze Szymon.

— W Auxerre, przed dwudziestu czterema laty.

— Za co?

— Zabiłem moją żonę i jej kochanka.

— A jak się nazywacie? — pytał Szymon z wzrastającą ciekawością, otwierając drzwi oberży.

— Nazywam się Fanfreluche — odpowiedział starzec, schyliwszy się, aby wejść w niskie drzwi oberży.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Angielska historja

NOWELLA

NAPISAŁ MIECZYSŁAW SCHMITT

(Dokończenie)

IX.

Pan sędzia, woźni, żona odźwiernego, wyczerpali wszystkie znane im środki, lecz nie mogli otrzeźwić Alicji.

— Potrzeba sprowadzić jakiego lekarza — rzekł w końcu pan sędzia.

Którvś z woźnych wybiegł, a spotkawszy na skręcie ulicy dra P. znanego w całem mieście, zawołał:

— Aj panie doktorze, zachorowała nam jakaś obca pani. Może by pan był łaskaw wstąpić, bo nie wiem czy znajdę zaraz naszego lekarza... a z nią coś zdaje się jest niedobrze.

Lekarz pospieszył ku sądowi o ile pozwalał na to jego wiek. Właśnie zresztą szedł tam, chcąc się prze-

konać, czy prawdziwe były jego przypuszczenia, iż nieszczęśliwa kobieta oddała się sama w ręce sprawiedliwości. Na słowa woźnego domyślił się wnet prawdy, nie mógł tylko pojąć, co mogło być powodem tego nagłego zasłabnięcia, skoro dziś rano była jeszcze zupełnie zdrowa.

Niestety i jego starania nie zdołały przywrócić przytomności Alicji.

Była jakby martwą, a po słabym tylko jak tchnienie pulsie serca, można było poznać że żyła.

— Jest to wynikiem jakiegoś silnego wstrząśnienia — mówił lekarz, więcej do siebie.

— Gdy tu weszła — odparł sędzia — była wprawdzie bardzo osłabioną, lecz odpowiadała na me zapytania zupełnie jasno i swobodnie.

— A zemdlała?... — badał lekarz.

— Na wiadomość, jaką jej udzieliłem, że losem jej wielce interesuje się ziomek, niejaki pan Jonatan Enders!...

— Hm, nierozumiem... — bąknął lekarz, a po chwili zapytał:

— Czy ta pani musi pozostać już w więzieniu, czy mógłbym może wziąć ją do siebie, ręcząc za nią moją osobą? Jest to przypadek bardzo ciekawy i rzadki. Zrozumie więc pan sędzia, dla czego chciałbym mieć tę osobę u siebie.

— Jest to już nie możebnem. Wydam jednak rozkazy, ażeby pan doktor miał przystęp do niej każdej chwili.

— Dziękuję i za to, skoro inaczej być nie może.

Zajęto się zaniesieniem Alicji do infirmarza. Lekarz siedział jeszcze koło chorej długo, a gdy odchodził wstąpił do sędziego.

— Czy nie możnaby widzieć się z tym anglikiem? — zapytał. — Sądzę, że osoba jego może jedynie przywrócić przytomność chorej.

— To bardzo łatwo, ma tu być jutro rano. Ale właśnie przed chwilą był u mnie drugi jegomość z tamtąd, i twierdzi, że ma w ręku dowody niewinności tej pani. Tylko prawda, pan konsyljarz nie zna całej sprawy.

I tutaj opowiedział ją zacny sędzia ze wszystkimi szczegółami, a doktor słuchał go z podziwienia godnym zapałem.

— I ja mam dowody, że ona niewinna

— A to jakim sposobem? — zapytał sędzia zdziwiony.

— Bardzo prostym. Do tego samego numeru w wiadomym hotelu, zajechała jedna z moich pacjentek z dwojgiem dzieci, które bawiąc się piłką i szukając za nią pod łóżkiem, wyciągnęły razem z zabawką ten oto flakonik. Ponieważ właśnie wtedy byłem tam z wizytą, wziąłem flakonik, a przekonawszy się po zapachu, że płyn w nim się zawierający jest szkodliwy, i widząc etykietę angielską, pomyślałem sobie zaraz, czy nie ma to jakiego związku z owem zabójstwem.

W domu przekonałem się, że płyn ten jest nadzwyczaj rzadkim i mało znanym produktem indyjskim, który użyty racjonalnie przyczynia się wiele do wzmocnienia sił żywotnych, wzięty zaś w zasilnej dozie, sprowadza śmierć, i to śmierć najczęściej nagłą, w skutek porażenia serca. Wybierałem się już kilka razy zdać o tem sprawę sądowi, i dzisiaj szedłem tu właśnie. Oto jest opisanie chemiczne tak trupa, jak i samego płynu.

— Ależ obdukcja wykazała otrucie i uduszenie...

— W memorjale moim znajdziesz pan wytłumaczenie wszystkich okoliczności. Teraz żegnam pana sędziego i proszę o ile możności troskliwe staranie około naszej chorej, którą jutro odwidzę.

Ranek nie przyniósł jednak żadnej zmiany w stanie Alicji. Życie nie uciekło zupełnie, ale też i objawiało się bardzo tylko słabo.

Lekarz siedział wpatrzony w bladą jej twarz, gdy wszedł sędzia z Jonatanem.

— Pan Enders — przedstawił sędzia.

— Pozwolisz kochany sędzio — mówił lekarz — że zostaniemy tu z tym panem sami. Jakikolwiek bowiem stosunek wiąże go ze słabą, i w jakimkolwiek celu przybywa, może mówić przedemną, jako przed obojętnym sprawie lekarzem, zupełnie otwarcie, gdy...

— Naturalnie — przerwał sędzia, mając w pamięci dobrze, błyszczące funty anglika, i opróżniwszy salę ze służby, sam ją cicho opuścił.

Jonatan ukląkł przy łożu Alicji i łzy rozpaczy, żalu, potoczyły się po jego ogorzałej twarzy.

Lekarz nie śmiał przerywać tej jakby uroczystej ciszy, jaka zapanowała, a wśród której słychać było tylko spazmatyczny płacz młodzieńca. Po chwili jednak Jonatan odzyskał moc nad sobą. Wpatrzył się badawczo w lekarza i rzekł:

— Pan ją uratujesz!...

— Nie wiem. Więcej to bowiem od pana zależy. Wiadomość o jego zjawieniu się wprawiła ją w ten stan, a zatem tylko osoba pana może wywołać skutek przeciwny.

— Więc ona wie, że żyję?...

— Wie, lecz dopiero od wczoraj. — Tutaj lekarz opowiedział Jonatanowi całą historję Alicji, o Gustawie tylko zamilczał.

— Panie! jakże ci mam okazać moją wdzięczność! — zawołał młody człowiek, przyciskając do ust rękę starca. — Teraz nie wątpię, że ją uratujesz!

— Nie mów pan tak — odparł lekarz poważnie, prawie surowo. — Mamy tu do czynienia z cierpieniem moralnem, stokroć gorszem od najcięższego fizycznego. Alicja kochała pana, a sądząc, że straciła na zawsze przedmiot swych uczuć, zmuszona przez ojca, oddała się temu starcowi. Straszna scena nocna wpłynęła już bardzo niekorzystnie na jej umysł. Wiadomość o twojem zmartwychwstaniu raziła ją jak gromem. A czyż mogę wiedzieć, jakie z tąd wynikną skutki? Przypuszczam dwie ewentualności. Po obudzeniu, które mogę już teraz sprowadzić każdej chwili,

albo Alicja, poznawszy pana, odzyska przytomność, lecz popadnie w ciężką słabość fizyczną, albo...

— Albo postrada zmysły!... — dokończył smutnie Jonatan. — A gdyby ją zostawić w tym stanie, dokądby natura sama...

— Tutaj natura gotuje jej pewną śmierć.

— A zatem obudź ją pan! — zawołał Jonatan.

— Stań więc pan u jej nóg. Lecz cokolwiek się stanie, nie odzywaj się ani słowem!

Jonatan zajął wskazane mu miejsce, a lekarz począł jakimś płynem nacierać skronie Alicji. Po kilku minutach lekkie drgania, zapowiedziały powracające życie. Po dalszej chwili słabe kolory wystąpiły na twarzy, a w końcu powieka rozsunęła się powoli, jak chmurka zasłaniająca niebo, i wielkie, zdumione oko Alicji spoczęło na Jonatanie.

Lekarz odstąpił na bok i milczał.

Jakże opisać to odbijające się na jej twarzy obudzenie się duszy biednej kobiety.

Na razie malował się jakiś zachwyt, zdziwienie; widziała... ale nie umiała sobie zdać sprawy, czy to na jawie, czy we śnie. Coraz żywsze kolory, coraz jaśniejszy wzrok, w którym przebijały się już błyski dawnego ognia, zdawały się być objawami coraz lepszego poznawania. Uśmiech, w którym malowało się tak czyste uczucie radości, jak czystą jest rosa barwiąca listek, okrasił jej lice... uśmiech, jaki tylko zdobi twarze aniołów, uśmiech nie ludzki... nie ziemski... To tchnienie Boże, ożywiwszy ciało, osiadło na jej uściech. W końcu powoli, jakby podtrzymywana i popychana jakąś niewidzialną siłą, podniosła się z posłania, i z wyciągniętemi rękoma, chyliła się ku Jonatanowi.

Młodzieniec zadrżał, a pod wpływem uroku, i ulegając tłumiącemu wszystko inne uczuciu, podniósł ku niej ramiona i szepnął:—Alicjo!

Kobieta drgnęła, a potem jak posąg nieruchoma, na pół siedząc, z ręką wysuniętą ku niemu, wpatrywała się weń okiem, które zdawało się powiększać każdej chwili.

— Alicjo!... — powtórzył młodzieniec przestraszony i chciał ją wziąć za rękę.

— Jonatan!... — wyszeptała Alicja w tej chwili, nie zmieniając w niczem postawy — Jonatan... — powtórzyła, i powoli usunęła się na posłanie.

Młodzieniec rzucił się ku niej, chwycił jej rękę okrywając pocałunkami.

— Alicjo!... — wołał — tak, to ja, twój Jonatan... Alicjo, nie poznajesz mnie?... Nareszcie Bóg nas połączył... patrz, klęczę u nóg twoich... spojrzyj!... Łzy moje oblewają twą rękę, lecz to są łzy szczęścia, radości... Alicjo!...

— Przestań biedny młodzieńcze! — przemówił lekarz, kładąc rękę na ramieniu Jonatana. — Czas zająć się uniewinnieniem tej kobiety. Na teraz zostawmy ją w spokoju.

I pociągając za sobą zrozpaczonego anglika, opuścili salę chorych, zostawiając Alicję pod opieką dozorczyni wybranej z ramienia lekarza.

Pan sędzia wziął się gorliwie do rzeczy i w ciągu kilku dni wszystko było gotowe.

Po długiej i nudnej rozprawie, po godzinnych mowach prokuratora, obrońców i sędziów, wydano wyrok uniewinniający Alicję.

Wskutek nowej obdukcji ciała, jakoteż znalezionego eliksiru, dalej wskutek świadectwa Toma (jego to wysłał pan Stockford) okazało się, że pan Meeding chcąc za długo i za dobrze żyć, jak to zwykle bywa, żył o tyle króciej, a co się z nim dalej stało, trudno wiedzieć tu na ziemi.

Zaraz po wydaniu wyroku, o którym zawiadomiono świetne sądy angielskie, zajechała przed gmach sprawiedliwości kareta, do której wsiedli: Alicja, Jonatan, i lekarz. Tom czekał na kolei.

Znajome nam osoby, zajęły jedno osobne coupé, a gdy pociąg już ruszał, Alicja przytknęła bladą swą twarz do szyby okna, i wodząc błędnem okiem po zaludnionym peronie, szeptała: Jonatan... Jonatan... biedna Alicja!

X.

Wiele lat upłynęło od czasu „angielskiej historji" wiele też i zmian zaszło w naszych znajomych. I tak Rózia przemieniła się w otyłą dość jejmość, panią Józefowę, utrzymującą wraz z zacnym małżonkiem sławną restaurację „pod piękną angielką". Któryś z malarzy, dawnych przyjaciół Rózi, kiedy jeszcze marzenia jej sięgały bardzo wysoko, namalował to godło, wywdzięczając się za lepsze czasy.

Angielka była otyła, miała siwe oczy i ogromne czarne włosy, które, ponieważ była w postawie stojącej, spływały aż do ziemi i służyły jej oraz za ubranie.

Pan sędzia był ciągle panem sędzią, i żałował tylko, że znowu jaka angielska rodzina nie wyprawiła jakiejś angielskiej historji. Najdroższa bowiem zawsze i najukochańsza Józia, potrzebowała coraz więcej objawów miłości ze strony męża, w postaci przeróżnych drobniejszych kwadratowych, podłużnych, i kwadratowo-przydłużonych malowanych papierków, jakiemi państwa zwykły zastępować ukryte i nigdy niewidzialne skarby złota i srebra. Mają słuszność, metal ściera się, traci, papierek zaś zawsze łatwo wymalować.

Skoro jednak uderzyliśmy o stół, muszą się odezwać nożyce. Pan Eugeniusz, który palił tem lepsze cygara, im coraz mniej pieniędzy miał pan sędzia, cieszył się jak najszczerszą przyjaźnią zacnych małżonków. Z ożenieniem szło mu tylko jakoś trudno. Nie wątpimy jednak, że mu się wreszcie i to uda.

Lecz któż to wysiada z powozu przed domem, gdzie mieszkał pan Amadeusz? Mówimy gdzie mieszkał, gdyż obecnie przyciska jego zacną i szlachetną pierś, już nie troska objadowa, ale śliczny, marmurowy pomnik. Zabił go zaś... objad!

Otóż staruszek, nasz dobrze znajomy lekarz, wysiadłszy z pojazdu, podążył na pierwsze piętro... i...

i znalazł się w objęciach Gustawa, a z drugiego pokoju ukazała się główka ciekawa... wesoła... Helenki, nie, — pani Gustawowej.

Po owym pojedynku z Jonatanem, Gustaw walczył długo ze śmiercią. Matka i Helena czuwały nad nim dniami i nocami, a gdy począł przychodzić do zdrowia, cała przeszłość wydawała mu się jakby jakimś snem. Postać Alicji stawała się coraz ciemniejszą, coraz niknącą, a na jej miejsce zaczęła występować coraz jaskrawiej figurka cichej, skromnej i pełnej poświęcenia Helenki.

Długo opierał się temu uczuciu wstydząc się matki i samego siebie. Wszak mówił: „że nie mógłby jej nigdy kochać“, zresztą kochał inną... Alicję.

W życiu zaś prawdziwie raz się tylko kocha!

— To też tylko raz!... — mówiła matka obznajomiona z całą historją Alicji. — Tamtej nie kochałeś... podziałała tylko na twoją wyobraźnię.

I powoli, powoli, Gustaw przyszedł do tego samego przekonania i ożenił się.

Wszystko to opowiedziano zacnemu lekarzowi, który wyjechawszy z Alicją, o niczem nie wiedział.

— A żeśmy szczęśliwi — kończył Gustaw przyciskając do serca żonę — świadczę się moją kobietką.

— Uhum! świadczył się cygan swojemi dziećmi — odparł lekarz śmiejąc się.

— Lecz cóż się stało z biedną Alicją — pytano.

— Jak wam wiadomo, straciła zmysły, a po skończonym procesie, uległem prośbom Jonatana i towarzyszyłem im w powrocie do Londynu. Miałem zamiar wrócić zaraz. Lecz na błagania nieszczęśliwego młodzieńca zostawałem z dnia na dzień, Alicja bowiem mnie tylko chciała słuchać, i ja tylko miałem na nią jaki taki wpływ.

Tak minął rok. Już byłem stanowczo zdecydowany powracać, gdy zabłysła słaba nadzieja uratowania Alicji. Czyż mogłem więc ją porzucać w takiej chwili?... Działając powoli, ostrożnie, po tylu latach, udało się nam nareszcie zeszłego roku, obudzić życie w zbłąkanym jej umyśle.

Nie potrzebuję dodawać, że wkrótce odbyło się ich wesele, a ja musiałem im jeszcze towarzyszyć w podróży po Włoszech i Szwajcarji. Po tylu zawodach okropnych, nareszcie biedna Alicja używa dzisiaj z mężem niezamąconego spokoju i szczęścia.

— A proszę pana doktora — zapytał w tej chwili Wicuś, prowadząc mały wierny korterfekt Gustawa, wywijający batożkiem — a proszę pana doktora, a co się stało z tym tak błyszczącym pierścionkiem?

— Jako pochodzące od pana Stockforda, ojca Alicji, zostały sprzedane i użyte wraz z majątkiem na zaspokojenie długów, jakie zostawił, gdy uciekł do Ameryki!...

KONIEC.

WDOWIEŃSTWO ALINY.

(Ciąg dalszy)

Nora owa, była to willa maleńka, którą hrabina de Vesore kazała sobie cichaczem pokazać. Wznosiła się po za bramą Pia, i była na pół schowaną po za grube, otaczające ją mury, osłonięte w dodatku ciemnemi gałęziami starych cedrów. Młode kobiety nieraz tamtędy przejeżdżały, i spostrzegały po za bramką z gęstej kraty żelaznej, która wiecznie była zamknięta, niewielką facjatkę, pomalowaną na kolor blado-różowy, kryjącą się w bujnej zieleni, dwie ławki ogrodowe i trytona odlanego z żelaza, i rdzą pokrytego, który dął z całej siły cienki promień wody w konchę marmurową, pełną mchu i pleśni. Alina zauważyła nawet, iż ten domek schludny i ładniutki, wygląda jednak dziwnie tajemniczo i smętnie. Siedziba odźwierciedla niejako usposobienie mieszkańców, a nie byłoż tam, nie było wesołości, choć mury na różowo pomalowane. — „Istny grób! — wykrzyknęła Alina, nie domyślając się, iż tak trafnie zgaduje. Był to grób w rzeczy samej, grób miłości od dawna zamarłej w sercu jednem z tych serc dwojga, które niegdyś były nią tak silnie złączone.

Stan rozdrażnienia, o którem Maks Henrion wspominał przed kilkoma miesiącami, wzmógł się o wiele od czasu ostatniej podróży Gastona do Paryża. Pani d'Herblay uważała z dnia na dzień, że uczucie, w które ona wlała całą istność swoją, u Gastona ucieka i niknie powoli jak woda sącząca się kropla po kropli. Po czem to poznawała? Nieszczęsna kobieta, nie umiałaby była na to pytanie wprost odpowiedzieć, a jednak była o tem najmocniej przeświadczoną. Najczęściej łzy połykała w ponurem milczeniu. Czasem jednak dawała folgę trawiącej ją goryczy, wybuchała gwałtownie, bądź skarżąc się, bądź prześladując Gastona wymówkami zazdrosnemi. Zdawało jej się, iż mięsza się i blednieje pod jej spojrzeniem badawczem; dowody przywiązania, usługi, które jej oddawał, brała niemal za obrazę. Widziała w nich bądź litość, której nie chciała, bądź wybieg, aby jej oczy zamydlić. Dlaczego jest tak ponurym? Dlaczego czeka tak niecierpliwie godziny poczty? Dlaczego nie pisze, nie pracuje? O czem myśli, gdy zamiast spać w nocy, przebiega swój pokój krokiem przyspieszonym? Czyż godzi się mieć przed nią tajemnice? Czyż nie powinna wiedzieć o wszystkiem?.. tak! o wszystkiem!

Znosił tę nieustanną inkwizycję, niecierpliwiąc się w duchu, starał się jednak ile możności uspokajać ją i pocieszać. Podejrzenia Blanki, nie wiedząc na kim spocząć wyłącznie, obejmowały małe kółko znajomych, których w Rzymie widywał. Odwidzał kilku malarzy Francuzów, mieszkających w willi Médicis, a godziny spędzane w ich pracowni, liczył do najprzyjemniejszych. Pani d'Herblay wyobraziła sobie, że to oni wciągając Gastona w wir własnych rozrywek, od-

rywają go od jej osoby, że ma niegodne rywalki; podpatrywała go, szpiegowała, śledziła krok za krokiem, nic nie odkrywszy, bo nic nie było do ukrywania. Chociaż na śmierć znudzony, Gaston śmiał się z tych przypuszczeń niedorzecznych, szczęśliwy, iż w zazdrości swojej nie odkryła jedynej rywalki, nie pomyślała o żonie jego, której obraz snuł mu się wiecznie przed oczami, podczas samotnych, nocnych przechadzek i rozmyślań bezładnych, a smutnych śmiertelnie. Ileż razy odczytał już matki swojej odpowiedź. Błagał ją, ażeby wyjednała w jego imieniu przebaczenie Aliny. Nie przypuszczał, aby kiedykolwiek mogli się połączyć; okowy, któremi obciążył się dobrowolnie, nie mogły pęknąć, bez popełnienia z jego strony podwójnej nikczemności; pragnął jednak gorąco, aby żona, którą tak srodze obraził, darowała mu winę popełnioną. To pragnienie pochłaniało niejako wszystkie inne jego władze umysłowe; przymykał oczy i widział ją taką, jaką spotkał u Alberyka, jasno-włosą, uśmiechniętą smętnie, z wianuszkiem fiołków nad czołem. On, który w życiu nie zapamiętał, jak kto był ubrany, przechodził teraz w myśli najdrobniejsze szczegóły toalety Aliny, zdawało mu się, że czuje lekką woń jej włosów, że dotyka się nogi jego końcem bucika. I za wszystko co utracił nawet przebaczenia nie mógł otrzymać! Wiemy jak niezgrabnie wzięła się hrabina de Sénonnes do spełnienia misji przez syna jej powierzonej, i jak jej się źle powiodło. Następnie uznała za stosowne napisać synowi, że Alina okazała się okrutną, nieubłaganą! Dowiodła jak przy najlepszych zresztą chęciach, pośrednik niezręczny, bez taktu i zastanowienia, może wiele złego wyrządzić i popsuć wszystko, zamiast cokolwiek naprawić. Gaston nie zdziwił się bynajmniej tym nowym ciosem, ale srodze pod nim zabolał.

— Za wiele żądałem! — pomyślał. — Jakżeby mogła mi przebaczyć, skoro ją pozbawiłem wolności, którą mogłaby poświęcić temu człowiekowi, gdyby nie...

I widział księcia Druckoj nadskakującego Alinie z miną zwycięscy, która przy jego uderzającej piękności, nie wydawała się nawet śmieszną. Musiała kochać tamtego! Aby jemu przebaczyła, trzebaby usunąć tę zawadę. Gdyby jednak ich małżeństwo było uznane za nieważne, jak pewen prawnik robił nadzieję? Dla czegoż ta nadzieja bynajmniej mu się nie uśmiechała? Dla czego przejmowała go raczej strachem, niż radością? Tym sposobem, wolność odzyskując, spłaciłby dług, w obec obydwóch tych kobiet zaciągnięty. Ależ w takim razie musiał by Alinę oddać na pastwę temu rozpustnikowi!... Skoro jednak takim, jakim jest, umiał jej się podobać?!... Zresztą, jakież może sobie do niej prawa rościć? Czyż więzy ich łączące nie są czystem urojeniem? Czegożby się zrzekł właściwie? Co by poświęcił w szlachetnem uniesieniu? A przecież tak przeciw sobie samemu argumentując, czuł, że odstąpienie Aliny komukolwiek, byłoby poświęceniem olbrzymiem, poświęceniem nad jego siły!

— Koniec końców! — powtarzał w duchu, zapalając się gniewem przeciw własnej osobie — nie kocham tamtej, nie mogę kochać, gdyż powinnością moją jest kochać Blankę!

Ten zaś fałszywy obowiązek, w którym nie było ani zasługi, ani poczucia honoru, tak mu ciężył, iż coraz ponętniejszą wydawała mu się myśl, ogarniająca go powoli, i popychająca, niby jakaś siła niewidzialna, ku biurkowi, gdzie leżały zamknięte pistolety.

— Byłaby wolną... mogłaby jeszcze zostać szczęśliwą... a jabym skończył raz na zawsze, z tem życiem piekielnem!...

— A ta druga? — szeptał mu głos tajemny — zostawisz więc tę drugą samą jedną? Rzucisz na jej biedną głowę, krew twoją, w dodatku do hańby, do pogardy, którą świat jej w oczy cisnął, a za co? Że ciebie ukochała miłością wielką, miłością bez granic! Teraz ciąży ci ta miłość kamieniem, bo nie umiesz wytrwać w niczem, boś chwiejny i niestały jak trzcina, którą lada podmuch gnie ku ziemi. Trzeba myśleć o tej drugiej, trzeba żyć dla niej, i oszukiwać ją jak możesz, skoroś raz ślubował wiecznemu kłamstwu, wiecznej obłudzie!...

Nie to jednak wstrzymywało go ostatecznie, od targnięcia się na życie własne. Silniejsza od tamtej, była myśl samolubna. „Przynajmniej póki żyję, nie będzie żoną księcia Druckoj!“ Wspaniałomyślność zatem dla Blanki, którą pysznił się sam przed sobą, pokrywała tylko uczucie o wiele egoistyczniejsze. Bądź jak bądź, Gaston cierpiał i ciężko pokutował.

Czyż myśl, która w nas pochłania wszelkie inne władze umysłowe, zatruwa wszelką przyjemność i wszelkie używanie, paraliżuje nasze zdolności w dzień i w nocy, spokoju nam nie daje, a w dodatku zmusza nas do uśmiechu, wśród srogich katuszy, jak śmiał się ów Spartanin, aby ukryć lisa, który w ciało mu się wżerał, czyż myśl taka nie jest męką piekielną? Możemy zatem śmiało utrzymywać, iż ciężką była pokuta Gastona.

XV.

— Kiedyż wreszcie z tąd wyjedziemy? — zapytała pani d'Herblay, jadąc z Gastonem w koczu spuszczonym, krokiem wolnym wzdłuż alei prowadzącej do willi Borghése.

Ktoby ich był spotkał, w postawie na pół leżącej, zwróconych ku sobie, byłby ich wziął za parę młodą i szczęśliwą; tymczasem dalecy byli od tego, mimo uroku wiosny, który ich otaczał.

Po za rzędem jaworów i dębów niebotycznych, o liściu bujnem, jaśniejszem i ciemniejszem, oko spoczywało na łąkach szmaragdowych, upstrzonych trzodami owiec białych i kóz brunatnych, a zakończonych zagajeniem gęstem, cienistem, w którem echo tajemnicze, zdaje się powtarzać słowa poety: „Tu Bóstwa mieszkanie!“ — Gdzie niegdzie, ciemne świerka konary, sięgające niemal do samej ziemi, rzucały cień, niby od parasola olbrzymiego, na jasną zieleń łąki, a

co kilka kroków odzywał się cichy szmer fontanny w marmurowy basen spadającej. Nie była to jeszcze godzina, w której zbiera się świat wielki. Zaledwie od czasu do czasu, spotykało się rzadkich przechodniów, lub jaką procesję dzieciaków, idących z powagą dwójkami, pod opieką księdza. Tu znowu siedział pod drzewem Franciszkanin, trzepiąc bezmyślnie pacierze, i przesuwając z łoskotem ziarnka klokoczki, które mu za różaniec służyły. Spotykało się z częsta mamkę z Albano, w tamtejszym stroju malowniczym, niosącą na ręku bambina z rodu wysokiego, a przynajmniej bogatego, sądząc po klejnotach, któremi była okrytą piękna wieśniaczka, mająca zaszczyt karmić to maleństwo. Gaston powodził okiem obojętnem po tych wszystkich postaciach, tak jednak charakterystycznych, i będących w tak doskonałej harmonji z ramami, które w koło nich tworzyła natura cudowna, majestatyczna. W gruncie, obchodziła go rzecz jedyna w tej chwili: Jak się zręcznie wykręcić od odpowiedzi kategorycznej na pytanie rzucone z naciskiem: „Kiedyż wyjedziemy?“

Był pierwszym, który poddał myśl odjazdu, a w chwili, gdy myśl powziętą miał wykonać, wahał się i z dnia na dzień wyjazd odkładał, sam nie wiedząc dla czego. Ktokolwiek znalazł się kiedy w położeniu rozpaczliwem, bez wyjścia, zrozumie ten rodzaj przesądu trwożliwego, aby w niczem nie brać inicjatywy, nie działać osobiście, zostawiając całą przyszłość na łasce wypadków nieprzewidzianych, zrządzeniom losu ślepego, tego czegoś tajemniczego, nieokreślonego, na co liczy jedynie biedny rozbitek, niesiony przez fale burzliwe, gdy tak się zaplącze, i tak sobie życie popsuje, że już sam nic odrobić i odplątać nie może.

Henrion doniósł mu z polecenia Alberyka, z wyrachowaniem lakonicznem: „Twoja żona podróżuje z hrabiną de Vesore.“ — W którą udały się stronę? Gdyby też traf błogosławiony, który raz już pozwolił mu zobaczyć Alinę, sprowadził ich cudownie po raz drugi! Oto dla czego odwlekał wyjazd z Europy, dla czego nie zrywał nici ostatniej, wiążącej go z przeszłością, choć udawał, że mu to tak łatwo pójdzie. Pani d'Herblay przeciwnie, z natury nieśmiała i bojaźliwa, wzdragała się zrazu na ten projekt, i wymyślała przeciw niemu przeszkody rozmaite, teraz atoli widząc Gastona wahanie, niecierpliwiła się zwłoką, nie mogąc dociec skąd pochodzi. Jak wszystkie kobiety, słabe a namiętne, nie umiała w niczem się pohamować, nie potrafiła oprzeć się szalonym serca porywom. Te brzegi nieznane, pociągały ją ku sobie i działały upajająco na jej romansową wyobraźnię. Widziała w oddali, w tym świecie nowym, raj na ziemi, oazę, gdzie będzie tylko ich dwoje, gdzie Gaston zacznie żyć wyłącznie dla niej, gdzie odszuka go takim, jakim był w pierwszych dniach miłości. Tak, tak, morze pochłonie smutki, nieporozumienia i to coś nieokreślone, które wciska się pomiędzy nich, bez słów, nie przybierając kształtów wyraźnych, a ona jednak czuje i cierpi. Potrzebowała zresztą zmieniać często miejsce pobytu. Trawił ją niepokój gorączkowy, właściwy ludziom, noszącym w sercu ból, lub wyrzut sumienia rozpaczliwy, i chorym nieuleczalnym, którzy śmierć przeczuwając, radziby uciec przed nią, przenosząc się coraz gdzie indziej. Nadzieja, która nawet na śmierć skazanego, do ostatniej chwili nie zwykła opuszczać, ukazuje im nowe siedlisko w blasku zwodniczym, obiecując, że tam mniej cierpieć będą, a może nawet zdrowie odzyskają.

— Kiedyż odjeżdżamy? — powtórzyła pani d'Herblay tonem rozkazującym. Jeszcze dźwięk jej słów nie przebrzmiał, gdy powóz ich wiozący, zetknął się z drugim, na zakręcie dość wązkim i nie bardzo bezpiecznym. Blanka krzyknęła, poznawszy wychylającą się z powozu i równie jak ona zmięszaną, panią de Vesore. Spostrzegł ją i Gaston, i sercem odczuł Alinę obok niej siedzącą, chociaż towarzyszka całkiem ją zasłaniała. Wyobraźmy sobie uczucie śpiącego, którego by nagle zbudzono, pokazując na jawie zjawisko cudowne, o którem marzył właśnie. Blanka ujrzała twarz Gastona tak zbladłą, tak wzburzoną, iż w umyśle jej jasno się zrobiło, jak kiedy błyskawica rozedrze nocne ciemności.

— Kto tam jest obok twojej kuzynki, ta kobieta w bieli? — spytała głosem drżącym..

Gaston, odchodząc niemal od przytomności, skinął głową potwierdzająco, jak gdyby wymówiła to imię, które brzmiało mu wiecznie w sercu, które miał na ustach zawieszone i szepnął bezwiednie:

— Tak, to ona.....

Zapanowało między nimi owe głuche milczenie, jakie zwykle następuje po wzruszeniu zbyt gwałtownem, aby można ubrać je w słowa, lub poprzedza burzę, której wybuchu się obawiamy.

Alina uwagi prawie nie zwróciła na to, co się w około niej działo. Usłyszała jednak krzyk stłumiony, i uderzyło ją drgnienie nerwowe pani de Vesore. Przestała zatem przewracać kartki w katalogu, który trzymała na kolanach, i zawołała myśląc, że grozi niebezpieczeństwo.

— Co to się stało?

— Nic! nic! — pospieszyła Olga z zapewnieniem — zdawało mi się, żem w powozie — ręką wskazała — poznała dawną z pensji koleżankę.

Alina szybko się odwróciła. Powóz toczył się teraz całym pędem ku bramie *del Popolo*, oczy jej przecież miały czas spotkać się z wzrokiem pani d'Herblay, która również ku niej patrzyła. I tak trafem nadzwyczajnym, zetknęły się przelotnie źrenice dwóch kobiet, które w życiu jedna drugiej tyle miejsca zajmowały, i tak stały na zawadzie.

— Piękną jest — przemówiła po chwili Blanka, skoro minął cokolwiek kurcz w piersiach. — Czemuś mi nigdy o tem nie wspomniał? — dodała głosem złamanym.

Gaston wzruszył ramionami.

— Nie musiałem tego zauważyć prawdopodobnie.

— I przysięgniesz mi, żeś nie wiedział o jej w Rzymie pobycie?

— Gdybym był się spodziewał czegoś podobnego, bylibyśmy z tąd już wyjechali...

— Doprawdy?... istotnie?... — w głosie jej bolem stłumionym, odezwał się niby dźwięk weselszy.

— Jak mogłaś o tem wątpić? Spotkania podobne muszą być wzajemnie kłopotliwemi i niemiłemi — odrzucił Gaston obojętnie na pozór, choć serce mu skakało dziwnem uczuciem radości.

— Nie widziałeś jej zatem, podczas pobytu w Paryżu, i nikt się o to nie kusił, żeby was pogodzić? — prowadziła dalej indagację Blanka. Jej wyobraźnia zaniepokojona, zwróciła się nagle w tę stronę z posądzeniami.

— Nikt! — zawołał Gaston szybko, odpowiadając tylko na drugie pytanie, aby kłamstwa uniknąć. Ze wstrętem wprawdzie, ale i do kłamstwa już się teraz częstokroć uciekał, aby ujść przed zasadzkami, które rozciągało w koło niego śledztwo nieustanne pani d'Herblay. Tłumaczył sam przed sobą obłudę w postępowaniu, iż jest to sposób jedyny, aby uspokoić zbytnią drażliwość chorej kobiety, i uspić jej podejrzliwość, posuniętą do granic ostatecznych. Jak gdyby kiedy wykręty mężczyzny, potrafiłyby pokonać zręczność i przenikliwość kobiecą! Na tem polu, wyjdą one zawsze zwycięsko.

— Po co ona tu przybyła? — Blanka szukała prawdy w jego oczach, które jedne dotąd kłamać się nie nauczyły.

— Zapewne, aby Rzym zwidzieć — Gaston udał znowu stoiczną obojętność. — Zastanów się, iż nawet matka moja jest przekonana, żeśmy z tąd już dawno wyjechali. Jeden Henrion wie o spóźnieniu, które nas tu zatrzymało...

— Którego jednak przedłużać nie będziemy! — wpadła mu w słowo Blanka z żywością.

— Jak zechcesz... Potrzebowałbym jednak kilku dni jeszcze, aby skończyć poszukiwania w bibljotece Watykanu.

Twarz młodej kobiety cokolwiek wyjaśniona, zachmurzyła się na nowo.

— One żyją w ścisłej przyjaźni? — przemówiła po dłuższem milczeniu.

— Któż taki?

— Twoja kuzynka Olga i...

— Nic o tem nie wiem.... Ale.... tak jest zapewne...

— A może przyjechały umyślnie, aby spotkać się z tobą?

— Co za myśl! — rzucił się Gaston.

Nie byłby śmiał przypuścić czegoś podobnego, a jednak uczuł radość szaloną, że komuś drugiemu mogło to się wydać prawdopodobnem.

— Co za myśl dzika! — powtórzył. — Zanadto jest dumną, aby gonić za kimś, który ją zdradził najhaniebniej.

— Jak ty jej bronisz z zapałem! Są jednak uczucia, w obec których milknie duma kobieca.

— Przypuściwszy nawet podobne niepodobieństwo, czyżby nie wystarczyła moja własna wola, aby spisek uknuty w niwec obrócić?

— Twoja wola! — powtórzyła Blanka z głęboką zadumą, jakby nie wierzyła, iż w danym razie miałby tę broń wszechwładną na pogotowiu. — Posłuchaj — mówiła dalej, zmieniając nagle ton i postawę — słuchaj uważnie, bo może nie znajdę więcej dość siły i odwagi, aby ci to wszystko wypowiedzieć. Widzisz, mam chwile, w których niebo mnię srogo karze, iż przyjęłam ofiarę z całego życia twojego, są godziny, w których zaczynam pojmować, iż powinnam była ofiarę odrzucić, jako przechodzącą siły ludzkie. W takich chwilach odczuwam wyrzuty tak piekące, tak bolesne, iż gotowa byłabym wrócić ci wolność...

— Wielki Boże! A cóż bym z nią począł? — wykrzyknął Gaston z goryczą niesłychaną. Wszak jedyny użytek, który by chciał z niej zrobić, był mu wzbroniony przez nieugiętość Aliny, która mimo przypuszczeń tej kobiety oszalałej, pogardza nim i nienawidzi!

— Byłbyś przynajmniej uwolniony od moich łez, skarg i wymówek! O! wiem ja dobrze, choć ciągle wracam do tego, jak działa fatalnie podobne postępowanie, na miłość już i tak gasnącą... niszczy ją do ostatniej iskierki! Nie zaprzeczaj!... bo mnię nie kochasz! Skoro miłość raz brzęknie łańcuchem, wszystko skończone!...

— Blanko!

— Nie ciśnij mojej dłoni, pozwól wytrwać i resztę wypowiedzieć. Okowy te ciężą ci nie od dziś i nosisz je z niecierpliwością. Szał, który popycha do najwyższych poświęceń, który służy nawet zbrodni za wymówkę, nie istniał już w twojem sercu, gdyś wziął na siebie ciężar mego życia biednego. Nie chciałam w to uwierzyć, czepiałam się jak tonący chwyta ostatnią choć słabą deskę ratunku, tych ułud zwodniczych. Daremnie! daremnie! uleciały i znikły jedna po drugiej! Ah! los obszedł się ze mną okrutnie! Drogo okupiłam chwilę szczęścia przelotną, a co mnię dręczy najwięcej, co mnię dobija, to przekonanie, żeś ty tę chwilę jeszcze drożej opłacił.

Łzy rzęsiste płynęły po wychudłych policzkach pani d'Herblay. Pierwszym popędem Gastona było, osuszyć je pocałunkami, przypomniał sobie jednak dość wcześnie, że znajdują się w miejscu publicznem. Był zresztą rad okoliczności, ostudzającej na razie zapał niewczesny.

— Cicho! cicho! — szepnął z czułością — zapominasz, że tobie zawdzięczałem... i jeszcze dziś zawdzięczam, jedyne i prawdziwe życia roskosze.

— Tak! — opuściła głowę na piersi — kochaliśmy się szczerze, serdecznie i dla mnie jesteś dotąd całym światem! Kochaj mnię zatem, tak długo jak możesz, jeżeli się omyliłam tym razem — dodała z wybuchem czułości, który dowodził, iż serce jej niczego więcej nie pragnie, jak łudzić się dalej — nie kłam jednak,

nie oszukuj mnie i siebie! Oto com ci chciała powiedzieć. Nie przymuszaj się i nie udawaj uczucia, gdy zgaśnie, bo to byłoby niegodnem nas obojga! — na jej zbladłych ustach, pojawił się przelotnie smętny uśmiech zrezygnowanej na wszystko męczennicy. — Nie lękaj się, jestem pod tym względem jasnowidzącą. Gdy uznam, że moja obecność stała ci się nieznośnym ciężarem, potrafię się usunąć i zniknąć raz na zawsze z horyzontu.

— I gdzież pójdziesz biedne dziecię? — przemówił Gaston litościwie z odcieniem lekkiej ironji, jakby istotnie miał przed sobą dziecię małe i nieudolne.

— O to mniejsza, abyś ty mnię tylko nie miał przed oczyma. Nie będę więcej narażoną na niczyją zemstę, a Bóg przyjmuje i daje schronienie nawet takim, którzy bardzo z daleka, po długim, długim czasie, do niego wracają. Potrząsasz głową z niedowierzaniem? Przypominasz sobie zapewne ową obietnicę, iż Bogu złożę w ofierze mój ból srogi i będę odtąd za grzechy pokutowała... obietnicę, która tak rychło w rozpacz szaloną się zmieniła... Teraz nic już takiego nie popełnię, bądź spokojny. Niechcę, abyś po raz drugi cierpiał z mojej przyczyny takie męki piekielne!

Porwała go za rękę i namiętnie do serca przycisnęła.

Gaston pytał sam siebie, czy to czasem nie próba, i trzymał się na wodzy, chociaż był głęboko wzruszony tym aktem pokory, czułości i rezygnacji. Dawna Blanka zdawała się odradzać, z pieszczotliwą słodyczą i z tą prawdziwie kobiecą słabością. Te to przymioty tak go były opanowały, i taki wpływ fatalny wywarły na całe jego życie. Obecnie widywał ją prawie zawsze zirytowaną i popędliwą.

Skądże zmiana tak gwałtowna? Nie dowierzał jej, w czem atoli nie miał słuszności. Usposobienie pani d'Herblay, mogło popsuć się i zgorzknieć na chwilę pod naciskiem wypadków, przeciwnych jej instynktom i popędom Z natury wahająca, nieśmiała, niewolniczo poddana opinji, była popchnięta mimowolnie przez brak stałych zasad i nieszczęśliwy zbieg okoliczności na tory zupełnie jej niewłaściwe. Czuła się wykolejoną bez ratunku, zgubioną na wieki w oczach świata; wstecz cofnąć się już nie mogła, leciała więc w przepaść, brnęła coraz dalej z zuchwałością pozorną prostej awanturnicy, z śmiercią jednak w duszy, z bolem piekącym na dnie serca. Z tej nierównowagi między czynnościami a naturą, wypływały owe zrywania się gwałtowne, gniewy nieuzasadnione, wymagania niewykonalne, które ją tak odmieniły, iż czasami sama siebie poznać nie mogła. Zbłąkana chwilowo, z pojęciami wypaczonemi, dusza ta przecież była jeszcze zdolną do uniesień szlachetnych, a wstrząśnienie moralne, którego w tej chwili doznała, zbudziło w niej lepsze, wznioślejsze uczucia. Ta żona, która dotąd pojawiała się w jej myśli bezcieleśnie, bezimiennie, jako Myt, jako abstrakcja, wystąpiła nagle żywa przed jej oczami, przedstawiając w świetle jaskrawem jej własną winę. W obec tej młodej istoty, której szczęście domowe ukradła, powiedziała sobie wśród mąk szalonej zazdrości, iż pięknie byłoby z jej strony, gdyby zrzekła się praw swoich dobrowolnie i zwróciła napowrót Gastona na drogę rzetelnych obowiązków. Wolałaby była, żeby ten obowiązek inaczej wyglądał, żeby nie miał nad jasnem czołem aureoli ze złotych loczków, żeby nie był tak pięknym, tak młodym, tak ponętnym, żeby nie posiadał tych cudownych źrenic fiołkowych, które z takim anielskim spokojem odbiły błyskawicę, ciśniętą z jej oczów czarnych i palących. Serce atoli u kobiety nie całkiem jeszcze zepsutej, rwie się właśnie najchętniej do postanowień najtrudniejszych i najbardziej bohaterskich. Otworzyła więc ptaszkowi drzwiczki w klateczce, ukazała mu w oddali możebność odzyskania wolności, jednocześnie atoli wpoiła w niego wzrok błagalny, jakim patrzy ofiara w ręku kata, do ostatniej chwili nie tracąc nadziei, iż jej oszczędzi śmiertelnej katuszy, że wzbudzi w nim litość dla siebie. I tak się stało. Gaston nie znalazł dość siły, dość energji, aby wypowiedzieć słowo stanowcze, którego tak się lękała usłyszeć.

— Po co mówisz o zerwaniu więzów, które nas łączą? — przemówił ze smutkiem łagodnym. — Wszak to wszystko, co nam zostało! Kogoż ja mam prócz ciebie na świecie? Komuż byś mnie odesłała?!...

Na ustach jej zawisło imię Aliny, ruchem szybkim nakazał atoli milczenie i powtórzył z naciskiem:

— Nie mam nikogo prócz ciebie! — tonem raczej bolesnym i niecierpliwym. niż czułym i przekonywającym.

Blankę jednak słowa jego zadowolniły. Kobiety wierzą chętnie temu, czego pragną najgoręcej!

XVI.

Podczas gdy w powozie odjeżdżającym prowadzono powyższą rozmowę, pani de Vesore przebiegała z minką rozweseloną labirynt marmurów w willi Borghèse. Znajdują się tam popiersia Cezarów z porfiru, tam Daphne Bernini'ego wznosi ku niebu ramiona, które rozrastają się już w cienkie gałązki, tam uśmiecha się Venus sucha i wymuszona, do której służyła za model bezwstydna Paulina Borghèse. Małemi stopkami zaledwie marmurowej posadzki Olga dotykała, przelatując z miejsca na miejsce, niby świetny motyl. Plotła bezustannie tysiące niedorzeczności i zagłuszała niemal Alinę głośnemi śmiechu wybuchami, do czego żadnego powodu nie było. Nigdy jeszcze tak się przedziwnie nie bawiła. nigdy czynność niezmordowana jej umysłu nie miała szerszego pola do działania; to warte było stokroć więcej niż wir cały, intryżki mniejsze i większe, i sztuczne przyjemności życia na wielkim świecie. Będzie urządzała podług swojego widzimisię — mówiła sobie — życie, miłość, losy trojga osób. Kamień węgielny już pod budowę jej romansu był podłożony, teraz w myśli lekko szkicowała rozmaite fazy i wydarzenia, odnosząc do tej fantazmagorji wszystkie przedmioty,

które ją otaczały. Wyobraziła sobie naprzykład: iż pewien Meleagre ma rysy Gastona, że zstępuje z piedestalu, biegnie ku niej, podaje jej ramię, błaga o radę, wynurzając żal najszczerszy i zaklina na wszystko, aby go z żoną pogodziła. Ma się rozumieć, długo się prosić kazała; musiała się przecie trochę podrożyć. Wszystkie atoli Muzy, zdawały się spiewać hymn poślubny, a Kupido uśmiechnięty figlarnie, na wierzchu jakiejś kolumny, dokańczał widocznie małżeństwa, przerwanego i łączył na zawsze parę rozkochaną. Te fantazje cieszyły ją niesłychanie; długie galerje, oświetlone złotym blaskiem słonecznym, wydawały jej się salami przybranemi świątecznie, pływającemi w morzu świateł jarzących, w których ona dawała bal niesłychany, aby uczcić zgodę małżonków, doprowadzoną do skutku za jej pośrednictwem. Na tym balu kręciła się w wirze szalonym sama Terpsichora, z orszakiem Nimf i Satyrów. Oto jak w tej chwili luba trzpiotka zapatrywała się i pojmowała Mitologję! jest bo to prawdą niezbitą, że wszystko w koło nas przybiera koloryt własnego naszego usposobienia, staje się ponurem lub wesołem, podług kaprysu naszej wyobraźni. Ale cóż zrobić z panią d'Herblay? I z tą się hrabina prędko uporała. Wprawdzie liczba klasztorów znacznie się w Rzymie umniejszyła, znajdzie się jednak jakiś jeszcze w położeniu malowniczem, który może stanowić dla serc zranionych i złamanych, ostateczność wcale przyzwoitą. Przepaska klasztorna nad czołem, będzie nawet więcej do twarzy tym rysom zbladłym, przedłużonym i troszeczkę już zwiędłym, niż wieniec z róż ziemskich. W tym tedy klasztorze, gdzie w bujnej wyobraźni przytułek dla Magdaleny pokutującej naprzód obmyśliwała, miała panować cichość pełna tajemnic i uroku, w ogrodzie miały szemrać słodko fontanny, w gaiku cyprysowym, obok kamiennej ławeczki, miał słowik tęskno zawodzić i mieszać swoje srebrne tony z odgłosem dzwonów, i chórem dziewic Bogu poświęconych. Pokutnica nie była by tam tak bardzo godną pożałowania. Pani de Vesore tego właśnie chciała, aby wszyscy mogli być mniej więcej zadowoleni, skoro ona tak się czuła szczęśliwą, i tak wszystko na tym najlepszym świecie, różowo jej się przdstawiało! Niepokój gorączkowy, który ją ogarnął, mógł się tylko porównać z uczuciem łowiącego ryby na wędkę, gdy widzi zdobycz upatrzoną tuż, tuż! przy haczku. Jedno jeszcze posunięcie, trochę zręczności i cierpliwości, a wielka ryba połknie haczyk, zawiśnie na wędce i już jej nie puści! Wzruszenie, które doznawała na myśl o tym połowie układanym w bujnej wyobraźni, tak zrobiło Olgę obojętną na wszelkie inne wrażenia, tak nic nie słyszała i nie uważała, z tego, o czem Alina jej mówiła lub pokazywała, że ta zniecierpliwiona wreszcie, powtórzyła razy kilka:

— Jakaś ty dziś roztargniona! Którędyż błądzą twoje myśli?

— To ten blask niesłychany! - - Olga tłumaczyła. — Tak, tak! czuję, jak mnie to słońce upaja.

— Możebyśmy wróciły? — Alina zaproponowała, straciwszy nadzieję, aby mogła myśl Olgi zająć czemkolwiek.

I wróciły w rzeczy samej do hotelu o wiele wcześniej, niż zazwyczaj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pogadanka.

A więc pływamy jak pączek w maśle wśród roskoszy karnawałowych! Czarowne kołysanki walców i polek rozbrzmiewają na okół, pobudzając serca do szybszego tentna, kążąc krwi raźniej płynąć po żyłach. Nie jedno też serce zgubiono już w tym wirze, nie jedne usta wyszeptały wyznanie miłośne, nie jedna główka roi roskosznie i śni o czarnym lub jasnym wąsiku...

I Wasz kronikarz zgubił w tym wirze, wprawdzie nie serce lecz... zeszłą pogadankę!

Ale bo też hulamy, że aż lubo! Ojcowie rodzin chodzą z nosami spuszczonemi, wszystkie swe myśli i całą tęsknotę szląc w stronę strasznego dla nas widma popielca. Być może że to nie ładnie z ich strony, lecz trudno im się dziwić!

Z ogólnego obrazu tegorocznego karnawału zaznaczę tylko ważniejsze epizody. Na samym wstępie wspomnieć muszę o balu techników, który się odbył w zeszłym tygodniu i rozpoczął niejako właściwy okres szału karnawałowego. Bal ten pod względem kasowym musiał wypaść dobrze, co się zaś tyczy ogólnego udania się, były to niejako pierwsze kroki młodego karnawału. Do kadryla stanęło z górą par siedemdziesiąt, a zabawa szła wcale raźnie i ochoczo. Zapowiedziane światło elektryczne jakoś nie szczególnie się powiodło, lecz brak ten dopełniało światło gazowe. Czarownych przedstawicielek płci pięknej również nie wiele się zebrało, jednak liczna młodzież bawiła się ochoczo i tany przeciągnęły się do późna.

Następnego dnia odbył się piknik koła literackiego. Wieczorek ten pozostanie długo w pamięci uczestników, tak się bawiono wesoło. Par było zaledwie czterdzieści kilka, lecz w małej sali „Frohsin'u“ nie wiele więcej wygodnie pomieścić się może, a ta swoboda w tańcu przyczyniła się wiele do uświetnienia zabawy. W ogóle piknik ten robił raczej wrażenie domowego wieczorku niż zabawy publicznej.

W tym już tygodniu odbył się bal prawników. Bal ten, mający za sobą tak świetną tradycję, nie zawiódł pokładanych w nim nadziei i wypadł rzeczywiście świetnie pod każdym względem. W gustownie przybranej sali kasyna miejskiego zebrały się licznie piękne nasze Lwowianki, rywalizując nawzajem o berło piękności. Kto je zdobył trudno osądzić, gdyż młodzież nasza przez ciąg karnawału wytańczyła sobie własne, osobiste królowe i na uniwersalną w żaden sposób zgodzić się nie chce.

Przebaczcie mi łaskawie, że tak pobieżnie skreśliłem dzieje kilku tak ważnych kampanji, że w opisie tym brakuje jeszcze wiele ważnych szczegółów, i nie gniewajcie się na żołnierza, walczącego wytrwale od początku karnawału i wracającego właśnie z walnej potyczki, że w tej właśnie chwili nad pogadanką... zasnął.

Kwik-kwak.

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.